

Adam Podlewski

Morze Traw

Jedną z najstraszniejszych cech Wielkiej Prerii była absolutna pustka. Ze strategicznego punktu widzenia dobrze było pilnować otwartej przestrzeni, zamiast ściany lasu, tak jak ci biedacy na północy, jednak porucznik Berkley wiedział swoje. Choć Czerwoni potrafili nieźle dopieć pogranicznikom w puszczy, na stepie robili to jeszcze lepiej. A to z prostej przyczyny — na oddziały przy lasach mogli posłać tylko zaczarowane wilki, niedźwiedzie, ostatecznie jakiegoś Iktomi, który jednak padał po dłuższej serii z kartaczoznicy Gatlinga. Na stepie można było zobaczyć stwory tak dzikie i pierwotne, że wymagały ognia artyleryjskiego. Fort „Thunder” stał na samym środku równiny, dwanaście mil od porządnej rzeki, więc latem często miewali suchą fosę. Bez Kręgu Wody walka z Indianami oznaczała piekło. Berkley nie rozumiał, dlaczego Dowództwo nie zgodziło się zatrzymać Granicy na Green Creek. Może chodziło o ładną, równą kreskę na mapie albo względy ambicjonalne. Wojska Unii musiały posuwać się szybciej niż Konfederaci, po prostu musiały. Zresztą Dixie wciąż paktowali z Czerwonymi, jakby to Jankesi byli ich głównym wrogiem, nie tubylcy. W teorii oba państwa amerykańskie respektowały postanowienia rozejmu z sześćdziesiątego czwartego, ale z Bawelniarzami nigdy nic nie wiadomo.

Porucznik podniósł lornetkę i jeszcze raz spojrzął na horyzont. Słońce dopiero wstawało, rozpoczynał się kolejny długi dzień. Oficera czekało przyjęcie gości z Bostonu i ich nowej broni. Berkley nie lubił eksperymentów, przynajmniej nie na swoim terenie. Nowe bronie miały to do siebie, że czasem nie działały i wtedy trzeba było sprzątać, albo działały i Czerwoni stawiali sobie za punkt honoru dokonanie zemsty. Kiedy grupa szturmowa przybywała, po jajogłowych nie było śladu, zostawiali natomiast żołnierze porucznika.

...

Konwój dotarł tuż przed południem. Fort Salina wysłał kompanię wsparcia z eskortą. Wciśnięci w świeżutkie, niebieskie mundury nie wyglądali zbyt bojowo, ale pozory mogły mylić. Dowodził nimi kapitan Hawk, jednooki, siwy weteran z północy. Był dość stary, by pamiętać wojnę secesyjną i — ponoć — wsławił się w Minnesocie. Zasalutował pierwszy, pokazując, że mimo przewagi stopnia, będzie szanował zwierzchnictwo Berkleya nad fortem. Porucznik miał nadzieję, że dzień nie okaże się aż tak długi, jak myślał.

— Wiecie, Berkley... tak mi kazali — mówił zakłopotany kawalerzysta. — Mam ich przypilnować i wrócić do St. Joseph. Skaranie boskie z tymi mądralami.

Obaj oficerowie spojrzeli pod bramę fortu. Sześciu Bostończyków przyjechało własnym wozem. Zapach tajemniczego ładunku przywodził na myśl piekło i (jeśli chwilę później Berkley dobrze zrozumiał chaotyczną przemowę chemika) machina tak działała. Ogromna cysterna zawierała mieszankę zapalającą, mającą wzniecić wielki ogień i oczyścić tysiące akrów gruntu. Cokolwiek robili biali, trawa odrastała, Indianie wracali i porucznik wiedział, że po podobnej akcji trzeba nacierać wszystkimi siłami i to od razu. Albo wycofać się do rzeki, co wydało mu się rozsądniejszym rozwiązaniem. „Problemy z Bawełnianymi, Kanadyjczycy ćwiczą na północy... Nie trzeba nam tej wojny. Musimy pilnować innych granic.” Być może myśli porucznika pachniały defetyzmem, ale Indianie nie należeli do najgroźniejszych wrogów. Oczywiście, korzystali z tej przeklętej magii, ale zawsze dążyli tylko do odzyskania ziemi. W sześćdziesiątym drugim Dakoci uderzyli z całą mocą, powodując niewiarygodne straty i zmusili Unię do pertraktacji z Południowcami, ale po ustaleniu granicy nie zapuszczali się głęboko na białe terytoria. To preria stanowiła ognisko zapalne wojny — im dalej na zachód, tym bardziej krewcy byli Czerwoni, a i o wyznaczoną linię frontu na stepie niełatwo.

— Panie poruczniku... — zawołał młody, pryszczaty naukowiec. — Możemy zaczynać? Niech pan da żołnierzy do osłony i zaczynamy lać mieszankę.

— Czy eskorta kapitana wam nie starczy? — zapytał znużony Berkley. Oceniał, że chemik nie jest świadom nawet ułamka wszystkich skomplikowanych zależności na Pograniczu i nie ma pojęcia, jak kruchą równowagę zaburza. Porucznik nienawidził takich ludzi tak samo jak polityków, którzy planowali te kampanie z senatorskich foteli w Waszyngtonie.

— Pan musi być gotów. Jak Czerwoni zrozumieją, co się dzieje, to mogą uderzyć pełną siłą... — odparł młodzik, raczej nieświadomy znaczenia swoich słów.

„Właśnie!”, pomyślał oficer. „Wy sobie jutro pojedziecie, zapisawszy wyniki eksperymentu, a my zostaniemy tutaj, naprzeciwko wściekłych Indian i mil kwadratowych wypalanej trawy... Jeśli zezłoscimy samych Indian, jakoś to będzie. Ale jeżeli trafimy na przyzwanego przez nich bożka... Chryste, armia powinna przysyłać nam etatowych egzorcystów!”

— Panie... — Berkley z trudem przywołał z pamięci nazwisko naukowca — ...Barreck. Czy pożar, który wznieciecie, nie zagrazi fortowi?

— No... nie, absolutnie nie — odparł jajogłowy, tak niepewny swej racji, że Berkley nie na żarty się przestraszył. — Zresztą ma pan przed fortem pas wypalanej ziemi i fosę... Niedawno ponoć padało, a wiatr nam sprzyja... — kontynuował młodzik, który zapewne nie miał pojęcia o pogodzie na prerii.

— Dlaczego u nas? — przerwał mu porucznik. — Dlaczego z całej linii fortów obronnych wybraliście tak odległy od garnizonów?

— Pan nie rozumie! — wykrzyknął naukowiec. — Zbliży się dwudzieste stulecie. Musimy przeciwstawić potęgę techniki i nauki mocy pogańskiej magii. Ten fort to pierwsza placówka, w której stosujemy metody z Północy. Tam wypalają puszcę, unieszkodliwiając węzły magicznej energii, z której korzystają Czerwoni. Ale las pali się powoli, a tutaj... Sprawa jest prosta. Wiem, że to zajmie trochę czasu, wiele lat, najpewniej. Ale prędzej czy później spopielimy takie obszary prerii, że wzmocnimy Granicę bezpiecznym pasem. Potem przebadamy nieaktywne węzły i uzbrojeni w tę wiedzę, zaczniemy palić dalej. Odetniemy Czerwonych od źródła mocy i pogonimy aż do Gór Skalistych! — zakończył z dumą naukowiec, jakby to on miał uczestniczyć w owej akcji.

— A jak coś nie wyjdzie, to na utratę tak wysuniętego fortu można sobie pozwolić — dodał zgryźliwie Berkley. — Ale trudno. Zaraz zbiorę ludzi. Dajcie mi godzinę.

Po tym czasie nie był jednak gotowy, ponieważ nadjechał Wódz.

...

Widok ten należał do malowniczych, bo z niewiadomego powodu Indianie uważali, że szyte na miarę jedwabne kamizelki pasują do noszonych na twarzy barw wojennych. Może musieli nosić malunki, a elementy europejskiego stroju uważali za przejaw kurtuazji wobec białych. Albo lubili białe kołnierzyki. Z akcentu młodego wodza Berkley wnioskował, że Indianin studiował w Anglii (choć nigdy nie zapytał, by zweryfikować domysł). Przepuszczenie to potwierdzał jednak karabin systemu Martini-Henry na ramieniu posła i podobne przy jego

świecie. Przekłęci Brytole zaopatrywali zamorskich sojuszników we wszystko, byleby podtrzymać wojnę na Pograniczu. Może Henry nie należał do najnowszego arsenału wojsk Wiktorii, ale z Albionu przybywały całe statki tego złomu, uzbrajając wojska koalicji indiańskiej. Kiedyś żołnierze Unii walczyli tylko przeciw łukom i magii — obecnie również przeciw uformowanym na wzór europejski kompaniom strzelców. „Cholerny Devonshire woła, że Anglia wspiera walkę uciskanych i tłamszonych ludów o wolność. Dobrze sobie... Ciekawe, czy podobne karabiny wysyła Afgańcom...”, myślał oficer. Ale rozumiał, że propaganda propagandą, a polityka polityką. Gdyby Unia miała okazję, zapewne uzbrajałaby powstańców przeciwko władzy Korony Brytyjskiej.

— Szefie, co robimy? — zapytał sierżant Green. Podoficer był prawą ręką Berkleya, właściwie zdatnym do zarządzania placówką. Jednak w tak gardłowych sprawach wołał o wszystko pytać zwierzchnika.

— To co zawsze, młody. Grzecznie negocjujemy — odparł dowódca fortu.

Dyskretnie posłali łącznika po kapitana, po czym ruszyli na spotkanie gości. Długi Liść był najlepszym nieprzyjacielem Berkleya. Przez ostatnie dwa lata okazał się zaciętym, ale honorowym przeciwnikiem. Przyzwalał na wymiany jeńców oraz zawieszenie broni w niedzielę. W zamian za to porucznik wysyłał ekspedycje karne do Dolin tak rzadko, jak się dało (bez zwrócenia uwagi dowództwa) i nie polował na bizona częściej niż musiał. Adwersarze darzyli się pewnym szacunkiem, a Berkley z żalem myślał, że w razie udanego eksperymentu Bostończyków ów sentyment może zniknąć.

— Witaj, Długi Liściu. Co cię sprowadza na Granicę? — oficer zapytał Indianina.

— Twoja nierozwaga, Dzielna Kurtko. — Tak lud Kaw nazywał Berkleya. Każdy żołnierz w niebieskim mundurze był „kurtką”, ale tylko porucznik „dzielna”. — Przybywam w pokoju i chciałbym ten pokój zachować. Proszę, odpraw blade twarze ze wschodu. W zamian za to udzielę ci gwarancji: do zimowego przesilenia nie zaatakujemy fortu. Dostaniesz na to moje słowo i słowa wszystkich wodzów z Dolin — mówił Liść, nie schodząc z siodła. Być może ufał Berkleyowi, ale pozostawał jego wrogiem, gotowym do walki. Siedział spokojnie, z barwami wojennymi na twarzy i angielską kamizelką na ramionach, ale w jego głosie czuć było napięcie. Naprawdę chciał zawrzeć rozejm.

— Przykro mi, wojowniku — odparł oficer. — Te rozkazy przyszły do mnie z gośćmi.

— Wiesz, że Ludzie znad Morza chcą spalić prerię. Naszą prerię... — Z tonu zdania Berkley wywnioskował, że Indianin uważa go za mieszkańca stepu. Preria była „ich”, zarówno Kawów, jak i unijnych żołnierzy, którzy służyli na granicy dość długo. Odważny wojownik przyjął zaskakująco ugodowy ton. — Nie niszczy tego, co Wielki Duch podarował swoim dzieciom.

— Nie mogę sprzeciwić się rozkazom, Długi Liściu — odparł oficer.

— Wiesz, że będziemy musieli odpowiedzieć na tę zniewagę i wysłać wojowników — dodał Indianin, a Berkley skinął niechętnie głową. Wtedy wojownik dodał w narzeczu Kaw, który oficer znał dość dobrze: — W takim razie zabierz tych, których uważasz za szlachetnych, i uchodźcie stąd.

— Wojownikowi...

— Mówię poważnie — przerwał mu Czerwonoskóry. — Tym razem sprowadzacie na siebie los znacznie gorszy, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Berkley milczał, spoglądając na wodza. Cóż to mogło znaczyć? Czy Kawowie i inne szczepy z Doliny szykowali większą ofensywę? Czy Długi Liść ryzykowałby fiaskiem planów, zdradzając ten zamiar nieprzyjacielowi? Oficer chciał dopytać Indianina, ale dołączył do nich Hawk. Bohater Granicy Północnej mógłby bardzo opacznie zrozumieć delikatne porozumienie Berkleya z Czerwonymi, dlatego nie mogli kontynuować tematu. Długi Liść powtórzył swoje groźby, teraz pod adresem kapitana, po czym dał znak do odjazdu. Ale już kłusując ku zachodowi, zaintonował pieśń wojenną. Porucznik rozpoznał w niej zmienione słowa. „Dzielna Kurtko, uchodź z fortu. Tu zostanie tylko śmierć.”

— Dziwny ten Czerwony — ocenił Hawk. — Ale ma w sobie coś wzniosłego. Czasem żałuję, że musimy z nimi walczyć.

— Ja też — odparł Berkley, choć nie miał na myśli tego samego.

Kątem oka zauważył na trawie skrawek papieru. Kiedy Hawk jechał już ku bramie, dyskretnie podniósł liścik. Nie znał charakteru pisma Długiego Liścia, ale dokładnie tak sobie je wyobrażał — kaligrafia nieco nieporadna, jakby wyuczona w późniejszym wieku, za to idealna gramatyka, wedle oksfordzkich wzorców. Wiadomość była krótka: *Jeśli nie możecie przeszkodzić Kurtkom znad morza, pilnujcie, by im nie pomagać. Niech twoi wojownicy nie przebywają z Konnymi i Ludźmi z Wybrzeża, kiedy się zaczną.*

...

Co dziwne, Indianie ani razu nie zaatakowali wozu. Bostończycy wylewali mieszankę do wieczora, nie niepokojeni przez tubylców. Może Czerwoni nie trzymali oddziałów na Wzgórzach, przygotowując wszystkich do ofensywy. Berkley nie był defetystą, ale dał Greenowi, Pace'owi i innym sierżantom dyskretne instrukcje, by przygotowali ludzi zarówno do walki, jak i ucieczki. Kawalerzyści Hawka pilnowali chemików, a załoga fortu nerwowo czekała na flankach.

— Będzie źle, sir? — zapytał Green.

— Dlaczego tak sądzisz? — porucznik udał opanowanie.

— To przyszło telegrafem optycznym, tuż przed zachodem — powiedział sierżant, podając dowódcy meldunek. — Nie czytałem, ale widziałem błyski. Wywiad donosi, że Dixie opuścili Fort „Wichita” i wzmocnili granicę na linii generała Lee. Wiedzą, że Czerwoni uderzą. Pan też się spodziewa, kazał nam pan gotować wozy.

— Być może — odparł Berkley. — Cokolwiek się stanie, kłopoty nas nie ominą. Jeśli ta preria spłonie, nawet dobre słowa Długiego Liścia nie uspokoją innych wodzów.

Kiedy ostatnie ogniki czerwieni schowały się za horyzontem, chemicy byli gotowi. Błyskali latarniami, nadając sygnały gotowości. Hawk wydał *pro forma* zgodę na działanie, łącznik patrzył niepewnie na Berkleya. Porucznik machnął ręką — już niewiele od niego zależało. Palacze przystąpili do dzieła. W trzech punktach prerii odpalono pochodnie, a potem nasączoną oleum trawę. Kawalerzyści Hawka czekali sto jardów przed fortem, w każdej chwili gotowi do osłonowej szarży. Ludzie Berkleya siedzieli na palisadzie i wgapiali się w ciemność. Noc zaczęły oświetlać ogniska na równinie. Jasne stosy rosły, kiedy zajmowało się coraz więcej nasączonej mieszanką trawy.

Nagle wzrok porucznika przykuła stojąca samotnie sylwetka. Skierował tam lornetkę.

— Green! — krzyknął. — Północny zachód, tuż przy ogniu. Czy widzisz to, co ja?

— Niech mnie kwakier pobije... tak! To jakiś Indianiec, cały w pstrokatych szatach... Nie rusza się, a przecież zaraz go przysmaży.

— To szaman — dodał Berkley. — Ostrzeż Hawka i powiedz naszym strzelcom, aby go zdjęli.

— Ale sir...

— Szybko! — ryknął porucznik.

Tak jak się spodziewał, czarowników było kilku. Odłączyli się od poselstwa Długiego Liścia i ukryli w trawie. Przeczekali cały dzień, aż do początku próby bojowej. Berkley nie wiedział, czemu ci starcy poświęcali życie, ale nie podobało mu się to. Ta najbardziej desperacka magia, związana z ofiarami, była najgorsza. To ona w sześćdziesiątym drugim wypchnęła białych z Minnesoty i przywołała plagę potworów na północne stany. Szamanów należało szybko zabić.

Nad prerią rozległy się pierwsze strzały, ale z odległości pięciuset jardów trafić można było tylko przypadkiem. Zdesperowany Green rozkazał walić z kartaczownicy do najbliższego z Indian, ale było już za późno. Powietrze nad prerią przeszyły kolejne krzyki palonych ludzi. Do uszu Berkleya dotarł jeszcze jeden dźwięk. Ludzki głos.

— Dzielna Kurtko, uciekaj. To ostatnia szansa — powiedział Długi Liść. Indianin czekał pod ostrokołem, ukryty w trawie. — Bierz dzielnych wojowników z twojego oddziału i uchodźcie.

— Co do cholery... — zaczął porucznik, ale nie zdołał skończyć. Zobaczył go.

Z początku nie sposób było mówić o jednej istocie. Z miejsc, w których spłonęli szamani, trzy ogniki wytrysły wyżej ku niebu i (choć przeczyło to prawom fizyki) zaczęły przybliżać się ku sobie. Zdumiony Green rozkazał strzelać w słupy płomieni, a Hawk ustawił ludzi w szyku szturmowym. Berkley zrozumiał, że faktycznie nadszedł czas uchodźcie. „Wstyd”, pomyślał. „Ale to nie moja wojna, a żyć chcę.” Krzyknął do sierżanta:

— Green! Wycofujemy się do rzeki.

— Sir? — zdumiony podoficer wdrapał się na ostrokół i zobaczył w dole Długiego Liścia. — Ależ sir... to dezercja. Doniosą.

— Nie, Krzyżąca Kurtko — odparł w nienagannym angielskim wódz Indian. — Nie będzie miał kto na was donieść. A jeśli nie wyruszyacie od razu, nie będzie kogo sądzić za zdradę. — Sięgnął do pasa po niewielki przedmiot i podrzucił go do góry. Berkley odruchowo złapał zawiniątko. Skórzany worek był wypełniony popiołem. — To pył z naszych świętych ognisk ku czci Haokah. Nasi starcy przywołali dziś Boga Ognia. Uciekajcie do rzeki, ale gdyby Haokah was dogonił, jego popiół na twarzy was uratuje. Chyba... Więc lepiej nie zwlekajcie.

— Sir, co to ma...

— Smaruj, nie gadaj! — syknął porucznik, nakładając sobie na twarz popiół. — Tylko oszczędnie, musi starczyć dla wszystkich naszych. Potem wyprowadź wozy i konie. To nie ucieczka, tylko... odwrót taktyczny.

— Ale Hawk... — zaczął sierżant. Wtedy problem zniknął.

Kapitan kawalerii nie rozumiał tego, co widzi, czuł, że nie można pozwolić na połączenie płonących magów. Zdesperowany, polecił ciskać granatami w kierunku pokrytej płomieniami sylwetki najbliższego Indianina. Ale od szamana żołnierzy oddzielało już jezioro ognia, a gorące powietrze nie pozwalało celować. Wreszcie trzy duchy połączyły się w jedną istotę. Być może nie był to sam Haokah, tylko moc gniewnego bóstwa stąpiła na ognistego potwora. Wysoka na sześćdziesiąt stóp kolumna żaru przybrała niemal humanoidalny kształt i ruszyła ku kawalerzystom Hawka. Żołnierze wciąż strzelali; płomiennik dmuchnął żarem, rozpalając prerię pod kopytami koni. Strzały zlały się z krzykami ludzi. Kawalerzyści ciskali ostatnie granaty w żółtego olbrzyma, potem cofali się, z ledwością kontrolując konie. Któryś z jeźdźców zauważył, że płonąca preria odcina im odwrót. Oddział ruszył, niestety, nie cały w odpowiednim kierunku. Kilka koni padło, mundur jednego z żołnierzy zajął się od wysokiej temperatury. Kilku innych kawalerzystów ruszyło wprost na ścianę żaru. Może to ich konie oszalały ze strachu, może potworna istota wołała nieszczęśników do siebie. Hawk zebrał pozostałych podwładnych i ruszyli na północ, ale patrzący z blanków fortu piechurzy nie wierzyli w powodzenie tej ucieczki.

— Koniec patrzenia. Uchodźcie — pośpieszył ich Długi Liść.

— Boże... — szepnął Green i ruszył z mieszkami ku szykującym wozy żołnierzom.

— Przyjacielu, co to jest? — zapytał zdruzgotany Berkley.

— To ostateczność — odparł Indianin. — Tak jak kiedyś doprowadziliście do desperacji naszych braci na Północy, tak teraz doprowadziliście nas. Chcieliście wypalić naszą prerię... Wojować ogniem. I od ognia zginiecie, chyba że wycofacie się za Missisipi. Wysłaniec Haokah nie jest nieśmiertelny, kiedyś go ugasicie. Ale my wyślemy następnego i następnego... Bóg jest wściekły na was, bo to wy podpaliście jego łąki. Przykro mi, że do tego doszło.

— Przykro mi, że los kazał mi wtargnąć na twoją ziemię — odparł Berkey i solennie obiecał sobie zakończyć karierę w armii. — Odchodzimy. Dziękuję, przyjacielu.

Porucznik nie miał czasu przyglądać się potworowi. W ostatniej chwili wyprowadził ludzi, bo zaraz potem do ostrokołu dotarła fala ognia. Drewno zajęło się szybko i już po chwili

tylko krąg ognia stał tam, gdzie jeszcze niedawno dumnie wznosiła się najdalej wysunięta na zachód placówka Unii. Green pośpieszył konie — gorąc wysysał powietrze z płuc i dłuższe pozostanie na prerii oznaczało śmierć, czy to od płomieni, czy bezdechu. Kierowali się na południowy wschód, przyjmując kurs niemal prostopadły do trasy płomiennika. Porucznik wrzeszczał, ledwo przekrzykując płacz płonącej prerii. Zakazywał ludziom strzelania do zjawy i czynienia czegokolwiek, co mogłoby przyciągnąć jej uwagę. Istota zdawała się kierować prosto do St. Joseph, skąd rano przybyli goście. Kto wie, może potwór człapał do Bostonu, zemścić się na podpalaczach? Co najmniej dwóch naukowców uszło z ognia, porywając kawalerskie konie. Berkley, porównując tempo wojskowego wałacha i ognistej mary, nie dawał wielkich szans uciekinierom. Być może z początku poruszali się szybciej, ale zwierzęta opadały z sił, w przeciwieństwie do ognistego stwora. Ten mógł iść przed siebie, póki znajdował suchą trawę pod płonącymi stopami.

„Pewnie zatrzymają go na linii Missouri”, myślał porucznik. „Zresztą to nie jest żaden nieśmiertelny bóg. Magię Czerwonych można wytłumaczyć naturalnym promieniowaniem ziemi, które przyzywa istoty z innych światów”, pocieszał się. Ale zaraz potem przypomniał sobie, że chemicy z Bostonu wiedzieli to wszystko, a zapewne jeszcze więcej, i mimo to zginęli lub właśnie walczyli o życie. „Chyba porządna salwa artylerii potrafi rozproszyc płomienie. Albo wypali się drogę przed płomiennikiem. Zlikwiduje mosty nad rzeką...” Ale te rozważania nie mogły zająć całej uwagi porucznika. Prowadził ludzi do fortu Południowców, modląc się, aby placówka kłopotliwych sojuszników nie była opuszczona.

Jeszcze do północy widział łunę ognistego stwora, który rósł z każdym krokiem i akrem wypalonego morza traw.

Wrzesień 2010

Adam „WTFapoc” Podlewski (ur. 1983) — historyk, filozof, gawędziarz konwentowy. Współzałożyciel Warszawskiego Towarzystwa Fantastycznego „Wykrot”, redaktor działu literackiego „Creatio Fantastica”.